

Igor Janke: Umrzeć za drużynę. Napastnik - Opowieść o Viktorze Orbanie

Zachowuje się normalnie, nie wywyższa, jest ciągle pokornym zawodnikiem



**Zachowuje się normalnie, nie wywyższa, jest ciągle pokornym
zawodnikiem**



Fragment pochodzi z książki *Napastnik*.

Opowieść o Viktorze Orbánie autorstwa Igora Janke, która ukazała się nakładem wydawnictwa Demart

„Prezydent, podaj, prezydent na lewo, wychodzisz!” – krzyczą koledzy z wiejskiej drużyny Felcsút do premiera Węgier, kiedy gra z nimi w piłkę. Prezydent – to brzmi na wpół poważnie, z szacunkiem, na wpół zabawnie. „Prezydent” to inaczej „przewodniczący”, bo chodzi o przewodniczącego Fideszu. „Viktor, słabo ci dziś idzie!” – tak też czasem krzyczą. Dwa, trzy razy w tygodniu, bladym świtem albo późnym wieczorem, premier Węgier Viktor Orbán trenuje piłkę na jednym z boisk w cichej, małej wsi Felcsút, oddalonej 46 kilometrów od Budapesztu. Spędził tam dzieciństwo i ma dom. „Jest pracowity, ale ostatnio tyje” – narzeka Mihály Takács, jego osobisty trener. Zwykle robią we dwóch normalny futbolowy trening. Bieganie, ćwiczenia kardio, zagrywki. Co jakiś czas grają mecz z kolegami. Orbán gra bardzo twardo. Mobilizuje innych: „Do przodu, gramy, idziemy!”. Lubi organizować grę.

Na wsi mówią o nim po prostu „Viktor”. Mieszkańcy są z niego

niezwykle dumni, ale traktują go jak normalnego mieszkańca. Zachowuje się normalnie, nie wywyższa, jest ciągle pokornym zawodnikiem – przekonują. „Viktor to Viktor, znamy go od dzieciństwa, on jest stąd”. Kiedy przyjeżdża do Felcsút, nie ma gadania o polityce. Rozmawiają o piłce, o znajomych, o rodzinie. „Ten, który do nas przyjeżdża, to inny Viktor niż ten z telewizji. Normalny facet. Jeden z nas” – opowiadają.

Jakiś czas temu, przed jednym z meczy trzecioligowej drużyny, zawodnicy przebierali się w szatni. Orbán usiadł nie na swoim miejscu. Jeden z piłkarzy, który przyszedł chwilę później, podszedł do niego i powiedział: „To moje miejsce”. „Aaa, sorry” - odpowiedział premier i się przesiadł. Inna opowieść: „Jeszcze zanim został po raz drugi premierem, umówiliśmy się na mecz w jednej wsi. Szatni nie było. Przechodzę obok jakiegoś samochodu na parkingu, a tam Orbán w gaciach przebiera się na ulicy. Jak wszyscy”.

Viktor Orbán nie zostanie już gwiazdą piłki. Ale marzenia ojca być może spełni jego syn Gáspár. Osiemnastoletni brunet jest piłkarzem i niedawno debiutował w Videotonie. Spotykam go w Felcsút przed boiskiem. „Piszę książkę o twoim ojcu”. „To świetnie, bardzo chętnie ją przeczytam” – odpowiada uprzejmie. Ma na sobie niebieski strój Videotonu. „To może pogadamy, chciałbym dowiedzieć się , czym dla was jest piłka” – mówię. „Chętnie, ale przepraszam, teraz muszę na boisko”. Siedzę na trybunach z Györgyem Szöllösim, szefem magazynu piłkarskiego „FourFourTwo”, mieszkańcem Felcsút „Gáspár to bardzo miły chłopak, ale nie masz szans. Nie chce udzielać żadnych wywiadów. Wie, że wszyscy interesują się nim z powodu ojca, a on chce sam zapracować na własny wizerunek”. Gáspár Orbán unika mediów. Chce pokazać światu, że umie strzelać gole. Ojciec jest z niego niezwykle dumny.

Powiedzieć, że Viktor Orbán pasjonuje się futbolem, to mało. Futbol to jego drugie życie. „W życiu politycznym może się walić i palić – Viktor zachowuje spokój – ale gdy nasi sportowcy walczą, emocje wylewają się z niego” – opowiada jedna z najbliższych mu osób. Potwierdzają to wszyscy, którzy byli kiedykolwiek z Orbánem na stadionie, albo choć oglądali z nim mecz w telewizji. Kiedy piłkarze biegają po boisku, on nie może usiedzieć w jednym miejscu. Szaleje, komentuje, nie da się z nim rozmawiać o niczym innym.

„Oglądałem z nim niedawno mecz Real Madryt – FC Barcelona. O każdym piłkarzu miał swoje zdanie” – opowiada jeden z jego przyjaciół. Kiedy współpracownicy Orbána umawiali mnie na spotkanie z premierem, ostrzegali: Jeśli pójdziesz z nim na mecz, nie próbuj nawet rozmawiać o czymkolwiek innym niż piłka. A najlepiej w ogóle się nie odzywaj. Viktor Orbán kocha piłkę nożną, kocha Węgry i kocha politykę. I wszystkie te sprawy są ze sobą ściśle związane. Wie, że piłka to nie tylko gra, to coś ważnego dla ducha Węgiek. Jest przekonany, że piłka nożna jest jednym z bardzo istotnych elementów, mogących posłużyć do tego, by społeczeństwo węgierskie odzyskało siłę. By się odbudowało, było zdrowe, dynamiczne i przedsiębiorcze. Orbán marzy o odbudowie silnego państwa i silnej węgierskiej piłki, o silnym społeczeństwie, pewnym siebie, zdrowym, dumnym ze swych dokonań i ze swych piłkarzy. Uwielbia futbol także dlatego, że to strategiczna gra. Można planować, przygotować taktykę. Są emocje, jest szansa wygranej, wielka radość, gorzka porażka. Potrzebne są wiara, determinacja, myślenie i ciężka praca. Wszystko to, co Orbán lubi. Na boisku i w polityce jest napastnikiem lub rozgrywającym. Piłka nożna fascynowała Viktora od zawsze. Jako mały chłopiec, mieszkając jeszcze na wsi Alcsútdoboz, położonej obok Felcsút, był bardzo mocno związany ze swoim dziadkiem Mihályem. Dziś wokół tej relacji dobudowuje się wiele legend. Dziadek przekazywał mu najważniejsze wartości, był człowiekiem walki, twardym, religijnym facetem,

trzymającym się w życiu zasad. Takim, jak potem Viktor.

Zapewne wiele z tego jest prawdą. Ale jest też prawda bardziej banalna. Mieszkali razem w jednym, niewielkim domu. Viktor najwięcej czasu spędzał w pokoju dziadka. Czy dlatego, że słuchał tam bohaterskich i patriotycznych opowieści? Raczej dlatego, że w pokoju dziadka stał telewizor, w którym mógł oglądać mecze. Jako chłopiec grał, gdzie się tylko dało. W liceum był jednym z najlepszych graczy. „Dziewięćdziesiąt procent wolnego czasu poświęcałem piłce nożnej. Pozostałe dziesięć zostawało na dziewczyny. Na inne sprawy było już mało czasu” – opowiada mi Viktor Orbán podczas obiadu w jednej z naddunajskich restauracji. Kiedy mówi o dziewczynach – uśmiecha się. Kiedy o piłce nożnej – jest śmiertelnie poważny.

Jeśli chodził na wagary, to po to, by grać w piłkę. Piłka zawsze walczyła u niego z nauką, pracą, polityką, rodziną. Ze wszystkim. Podczas służby w wojsku, aby obejrzeć jakiś mecz, chował się gdzieś w jednostce, albo po prostu uciekał na kilka godzin. Potem spotykały go za to surowe kary, z karcerem włącznie. Jednak piłka była ważniejsza. Na studiach rzucił się w wir działalności społecznej i politycznej. Ale oprócz polityki, wina i koleżanek, w jego życiu dalej najważniejsza była piłka. Od razu wszedł do sześciuosobowej drużyny, których w Budapeszcie było wtedy kilkaset. Takie małe zespoły były bardzo popularne na Węgrzech. W lidze uniwersyteckiej rozgrywał regularnie mecze, ale też dalej grał w profesjonalnej drużynie. Najpierw w Felcsút SE, potem w drużynie z Székesfehérvár, później już w Budapeszcie. Na treningi poświęcał bardzo wiele czasu. I w szkole, i na studiach, i potem jako polityk. W 1989 roku był środkowym napastnikiem w małym budapeszteńskim klubie Erdért. Nigdy nie opuszczał treningów, ale pewnego czerwcowego dnia poprosił swojego trenera o kilka dni wolnego. János Jakab zgodził się bez problemu. Gdy kilka dni później trener jechał samochodem, ku swojemu kompletnemu zaskoczeniu

usłyszał w radiu głos swojego podopiecznego. Wzywał właśnie w przemówieniu wojska sowieckie do opuszczenia Węgier. Jakab zrozumiał wtedy, że ten zawodnik może mu zniknąć na dłuższy czas.

Nie zniknął. Szybko wrócił do gry. Panowie do dziś się przyjaźnią, razem oglądają mecze. Kiedy został szefem partii, z treningami było trochę trudniej, ale praktycznie do momentu ponownego objęcia rządów w 2010 roku był zawodowym piłkarzem kolejnych drużyn. Najwięcej czasu spędził w piątoligowej Felcsút SE – drużynie ze swojej wioski. Grał tam regularnie, nawet gdy był szefem rządu w latach 1998-2002. Jak to premier – w tygodniu pracował od rana do nocy, a w weekendy, kiedy tylko miał wolną chwilę, pędził do Felcsút na treningi i mecze. Jego żona Anikó Lévai często narzekała z tego powodu.

Czytaj dalej